Miesięcznik Literacki

styczeń 1943

M I E S I E C Z N I K   L I T E R A C K I

S T Y C Z E N
1 9 4 3

Z " Symfonii anielskich "

Jana Dachnowskiego r.1631.

S y m f o n i a   d z i e w i ę t n a s t a .

Najmilejsi pasterze
I niebiescy rycerze,
Komuście dziś śpiewali,
Na piszczałkach krzykali ?

Dzieciąteczku maluczkiemu,
Z panny urodzonemu
W Betleem małym mieście;
Pójdziem tam znowu jeszcze.

Jechalić tam królowie
I straszni murzynowie
Z niskiemi ukłonami
I drogiemi darami.

Widząc Dzieciątko ono
We żłobie położono,
W stajni między bydlęty
Jakby przybytek święty.

Królowie go szanują,
Dzieciąteczko całują,
Afekt mając bez miary;
Każdy oddaje dary.

Onemu Królewicowi
I Odkupicielowi;
A Pan wdzięcznie przyjmuje
I wzajemnie całuje,

Dając błogosławieństwo
I niebieskie królestwo;
Wtem pasterze zagrali,
Dzieciątko kołysali.

Osieł klęcząc i z wołem
Pod onym to okołem,
Stwórcę swego poznali,
Parą go ogrzewali.

Panna pełna radości,
Mając takowych gości,
I aniołów tak wiele
Czynią serce wesołe.

A ubodzy pastuszy,
Czując radość na duszy,
Nie przestają przygrawać,
Mleczka Dzieciątku dawać.

O Jezu Najmilejszy
W takowy fest dzisiejszy
Racz nas przyjąć do siebie
Teraz i potym w niebie.

W I G I L I A .

I zbudzili go nagle.Był to głos zdaleka.
Umarłego lat tyle któż to zbudził z Boga
jak ze snu,by jak kropla ciążył znów ku ziemi
i cierpieniem co myślą żywego człowieka
jka ciałem okrył i sprowadził wdół.

Już opadał;mgła nisko.Obłok śniegu w dole.
Od światła oderwany,w czarnoksięskim kole,
w kole głosu wirował,aż usłyszał zbliska
jak go nazwała po imieniu.Sliska
ulica w śniegu nikła.Grajek zginał piłę
i cienki głos przeszywał i oddalał czas
jak w tamten wieczór śmierci.Już był u tych okien.

Stół biały, wigilijny,posypany mrokiem
i ona tam samotna.Płomień śniegu gasł
od chłodu,który przyniósł i powiew westchnienia
zatrzepotał i stanął znów u jej ramienia
jak w tamten wieczór śmierci."Mój miły"-mówiła
"Oto samotność moja,łzy i tych łez siła
co cię do mnie prowadzi."pytał ciężko "co,
co mi każe powracać w ołowiane dno,
na niemo dno milczenia,na ziemię,w popioły."
"O miły,ukochany"-mówiła,wspominała-
"Ty duch,ty nie pamiętasz o cierpieniu ciała.
Już nie ma naszych synów. Krew ich wsiąka w śnieg.
Możeś widział ty serce ich na ulic bruku,
możeś widział schodzących na umarłych brzeg,
a może roztrzaskaną matki siwą głowę.
Dzisiaj przyszła godzina,zabierz serce moje,
chroń mnie od dotknięcia ich,jakeś mnie bronił."

Pokój spełniał się świtem.Na ulicy dzwonił
dzwonek u małych sanek.Ciemni,trzej,schyleni
długo szukali w szafie.Jeden złożył dłoń
na jej ramieniu sztywnym.Wtedy się uśmiech
obsunęła powoli.Brzask jej zwilżył włosy
i strumyk chłodnej ciszy popłynął przez skroń,
Zamilkli.Ona była z nim,daleko,chyba
dalej niż każda miłość.Ostry szron na szybach
skrzył się.Ruszyli zwolna.Lęk ich biały mroził
i czarny krzyż ze ściany jak milczenie groził;
było wysoko,cicho jak w kościele.

SWIATOPOGLĄD, TENDENCJA I ORTODOKSJA.

Najpierw dwa założenia historyczne.Pierwsze:doszukując się istotnego sensu obecnej wojny,odkrywamy,że na planie polityczno-społecznym,oznacza ona definitywne bankructwo tak liberalizmu,jak i totalizmu.Liberalizmu i totalizmu,które nie są bynajmniej neutralnymi,"moralnie obojętnymi technikami politycznymi.Przeciwnie,implikują one pewną,a mianowicie naturalistyczną koncepcję człowieka,bankrutującą razem z nimi: są tylko wariacjami politycznymi na temat tej koncepcji.

Założenie drugie związane jest ściśle z pierwszym.Brzmi ono mianowicie tak,że epoka nadchodząca,ta którą winien rozpocząć koniec obecnej wojny,musi szukać swych rozwiązań społeczno - politycznych poza liberalizmem i poza totalizmem,a raczej ponad nimi,łącząc w jakiejś wyższej syntezie te prawdy częściowe,którym systemy odchodzące miały służyć.Dodajmy odrazu,że - zdaniem naszym - jedynym możliwym wyjściem poza liberalizm i to tżizmarazem poza ich wspólne podłoże:naturalizm/,jest koncepcja personalistyczna,a więc oparcie całego porządku cywilizacyjnego o pewną wyraźną hierarchię wartości rzeczywistych,wartości,z których na tym świecie najwyższą jest człowiek;ale nie człowiek pojmowany statycznie,jako to czym jest,lecz dynamicznie;jako to czym być może,i być powinien,a więc człowiek jako osoba.I jeszcze dla uniknięcia nieporozumień; personalizm nie ma nic wspólnego z indywidualizmem,jest jego przeciwieństwem;osoba kształtuje się poprzez podporządkowanie prawdziwym interesom zbiorowości/jako zbiorowości osób/,poprzez wyrzeczenie,poświęcenie i służbę.

Tu konieczna jest mała dygresja.Napisałem wyżej o epoce nadchodzącej, że winien ją rozpocząć koniec wojny. "Powinien rozpocząć" a nie "rozpocznie".Otóż użycie tu takiej właśnie formy gramatycznej ma dwie przyczyny.Pierwsza to ta,że nie będąc fatalistą,wiem,że epoka personalizmu

może nadejść,że nadejść powinna,ale nie musi.A świadomość ta jest bardzo ważna,ona bowiem na miejsce biernego oczekiwania,uruchamia działanie płynące z poczucia osobistej odpowiedzialności.Druga przyczyna dotyczy istoty rzeczywistości historycznej.Chodzi mianowicie o fakt niewątpliwy dla humanisty,że przełamywanie się jednej epoki w drugą,dokonywuje się na pewnej przestrzeni czasu,w sposób niemal niewidoczny,w jakimś infra-historycznym nurcie rzeczywistości,którego to nurtu,wydarzenia dziejące się na powierzchni historii,przybierające ostry kształt polityczny,są tylko bladym i zawsze trochę opóźnionym wyrazem..

Wróćmy teraz do naszych założeń.Zostały one tu podane bez dyskusji i dowodu; zbyt by nas to bowiem oddaliło od właściwego tematu tych rozważań.Musimy je więc przyjąć jako udowodione /lub udowadnialne/ aksjomaty,jako punkty wyznaczające nam pewien układ odniesienia,w którym chcemy umieścić niniejsze rozważania i szukać rozwiązania pewnych problemów.Zresztą mam nadzieję,że dla wielu czytelników,założenia te stanowią jeśli nie logiczną,to przynajmniej intuicyjną oczywistość.

Problem o który nam chodzi,to problem wolności sztuki,oraz tak częstego konfliktu między tą wolnością,a społeczną funkcją sztuki.W cywilizacji liberalnej problem ten został rozwiązany bardzo prosto /przynajmniej na planie teorii/.Rozwiązanie to wyraża się w haśle: "sztuka dla sztuki". Sztuka zatem nie posiada tu żadnego "obciążenia" społecznego,jedyną jej funkcją społeczną,jest to właśnie,że jest sztuką.Artysta tworzy w całkowitej wolności,kierując się tylko wewnętrznymi prawami sztuki;wszelka bowiem z zewnątrz płynąca próba ograniczenia sztuki,narzucania jej jakichś tendencji,czy norm społecznych,lub moralnych,zabijałaby sztukę.

W systemie totalnym rozwiązanie jest niemniej proste:Pełnię rzeczywistości ludzkiej przedstawia zbiorowość zorganizowana politycznie - państwo.Temu też państwu,musi się sztuka /i wogóle kultura/ podporządkować bez reszty,musi mu bezpośrednio i świadomie służyć. Niema wartości bezwzględnych,obiektywnych: prawdziwe,dobre i piękne, jest to co jest pożyteczne dla państwa.A o tym,co jest dla państwa pożyteczne,decyduje nieodwołalnie wódz i partia.Totez państwo nie tylko rozdaje artystom tematy,nie tylko decyduje o tym jaką treść ma artysta wyrażać,ale wyrokuje także jaka forma wyrazu artystycznego jest w danej chwili /bo te rzeczy są zmienne/ państwotwórczą.Inicjatywa prywatna w dziedzinie sztuki może być dopuszczona tylko w razie zupełnego współbrzmienia serca i umysłu artysty i ortodoksją obowiązującą.A i wtedy państwo pilnie patrzy artyście na palce.

Tak wygląda teoria. A praktyka? Porównanie wychodzi na korzyść rozwiązaniu liberalnemu.Fakt,że w państwach totalnych kultura gwałtownie się cofa,a prawdziwe dzieła sztuki,jeśli powstają,to raczej mimo systemu totalnego niż dzięki niemu,wydaje się dziś niewątpliwy. Natomiast w systemie liberalnym kultura narasta i powstają autentyczne wartości artystyczne.Wniosek zresztą tak oczywisty i powszechnie uznany,że aż banalny: Sztuka wymaga atmosfery wolności.

Jednak,ten obraz sztuki w cywilizacji liberalnej,tak jasny w zestawieniu ze swym totalnym sąsiadem,a raczej następcą,nieślubnym dzieckiem,ma swoje bardzo głębokie cienie.Przedstawione w największym skrócie,te cienie są dwojakiego rodzaju. Pierwsze: sztuka rzekomo wolna i tak zazdrośnie strzegąca swej wolności,jako niezależności od wszelkich wpływów pozaartystycznych,w istocie rzeczy dostaje się niesłychanie łatwo w niewolę sił panujących w letnim i beznamiętnym klimacie liberalizmu,a mianowicie opinii mody,a zwłaszcza pieniądza.Drugie cienie,jeszcze głębsze,jeszcze bardziej nasycone czernią: oto w klimacie liberalizmu,w klimacie zneutralizowanym,wysterylizowanym,bezwartościowym - wolność staje się wartością sama dla siebie,miast służyć jakiemuś celowi,służyć temu co ją uzasadnia. Wolność dla wolności.Stąd sztuka całkowicie aspołeczna,niepoczuwająca się do żadnej odpowiedzialności wobec zbiorowości,do żadnych zo-

bowiązań społecznych,do żadnego związku z życiem i z działaniem. Sztuka dla sztuki,artysta w wieży z kości słoniowej.

A na wewnątrz,od strony artysty – to samo.Całkowita nieodpowiedzialność wewnętrzna,przecięcie nici wiążących artystę z człowiekiem jakieś wewnętrzne rozdwojenie jaźni,a raczej zepchnięcie "człowieka" pod próg świadomości,na rzecz całkowicie wolnej,nieskrępowanej żadną "ludzką" konwencją,ekspansji artysty,podległego jedynie kanonom estetycznym,n.b.kanonom przez siebie stanowionym.Artysty,który unikając wszelkiej odpowiedzialności,wszelkiego angażowania się,wszelkiego wyboru nawet /bo wybór raz dokonany mógłby obowiązywać/,stara się utrzymywać swoją plazmę ludzką w stanie ciągłej płynności,bo zakrzepnięcie jej w jakiś wyraźny kształt,wykluczałoby możliwość innych kształtów a wszak w liberalnym klimacie wszystkie kształty są równie wartościowe i pożądane.Na miejsce wolności jako koniecznego warunku wyboru,konstrukcji i kształtowania,wyrasta wolność anarchiczna i anarchizująca,destruktywna i bezkształtna – w gruncie rzeczy będąca niewolą,mniej wprawdzie widoczną,ale dużo cięższą i trudniejszą do zrzucenia od jakiejś alienacji,zaboru zewnętrznego: niewola wewnętrzna artysty,będącego niewolnikiem samego siebie,wewnętrznej i zewnętrznej materii,swoich nieuporządkowanych namiętności,swoich przecenianych przeżyć,swojej naskórkowej oryginalności /zresztą źle maskującej nieoryginalną banalność/.Bo zawieszenie wyboru i kształtowania, z miłości dla samego wybierania i dla samej możliwości kształtów, jest złudzeniem,fikcją,jeżeli człowiek nie wybiera i nie kształtuje się świadomie i dobrowolnie,to kształtuje go jego podświadomość,jego niższe instynkty,oraz środowisko zewnętrzne,człowiek przestaje być podmiotem,a staje się przedmiotem,niewolnikiem.Rzecz prosta,że jest to diagnoza choroby spotykanej szeroko i poza granicami sztuki i noszącej miano indywidualizmu,w pełnym i jaknajgorszym tego słowa znaczeniu.

Toteż skrajny formalizm,chemicznie wyprany z całej sfery treściowo znaczeniowej,jest naturalnym dojściem indywidualistyczno-liberalnej koncepcji sztuki dla sztuki,koncepcji w której zatraca się całkowicie sens sztuki,w której sztuka przestaje służyć.Jeżeli zaś w systemie liberalnym powstają autentyczne dzieła sztuki,to powtórzyć tu musimy to,cośmy mówili w odniesieniu do totalizmu: powstają nie dzięki temu systemowi,lecz mimo niego,jeśli nie przeciw niemu.

Jakiż jednak jest ten sens sztuki? Czemu sztuka ma służyć? Odpowiedź na te pytania angażuje całą filozofię sztuki,do której rozwijania ani nie czujemy się powołani,ani też nie tu jej miejsce.Poprzestaniemy więc na paru oczywistych danych których dostarcza zdrowy rozsądek i obserwacja rzeczywistości artystycznej.

Dzieło sztuki wyrasta z osobowości artysty.Rzeczywistość zewnętrzna i wewnętrzna artysty,powoduje powstanie w jego osobowości wizji artystycznej,której to wizji dzieło sztuki jest obiektywizacją,a raczej wyrazem,pośrednio zaś wyrazem osobowości artysty,bowiem wizja ta jest ściśle z kształtem osobowości związana.I teraz teza: rozdwojenie osobowości artysty na osobowość artystyczną i osobowość ludzką, rozdwojenie będące świadomym lub nieświadomym założeniem liberalnej koncepcji sztuki,jest fikcją,nie posiadającą pokrycia w rzeczywistości.Artysta i człowiek to jedno – /o ile oczywiście można wogóle mówić o jedności wewnętrznej człowieka,będącej w gruncie rzeczy zawsze tylko jednością "w pewnym stopniu"/.Talent nie jest jakimś zewnętrznym dodatkiem do osobowości ludzkiej,ale jest jakby wewnętrznym tej osobowości ukształtowaniem.To też rozwój artysty jest ściśle związany z rozwojem moralnym człowieka i jeżeli zachodzi tu jakaś niewspółmierność,to napewno także ze szkodą sztuki:A więc jeśli mówimy, że sztuka to talent plus praca,to adagium to słuszne będzie tylko pod tym warunkiem,że przez pracę rozumieć będziemy nie tylko opanowanie rzemiosła i techniki artystycznej /czego rezultatem byłaby conajwyżej wirtuozeria/,ale także równolegle idącą pracę nad pełnym

rozwojem wewnętrznym osoby,nad poznaniem,opanowaniem i podporządko-
waniem swego ja,nad jego ustawieniem zgodnym z obiektywną hierarchią
wartości.Im bardziej rozwinięta i silniejsza osobowość,tym silniejsze
i czystsze źródło sztuki,tym większa sztuka.

Poniekąd odwrotnie przebiega proces "odbioru",czy "konsumcji"
dzieła sztuki /okropne to terminy i niedopasowane do rzeczy,cóż kie-
dy innych jak dotąd niema/.Mianowicie "odbiór" ten,lektura powiesci,
oglądanie obrazu,czy słuchanie muzyki,wywołuje w odbiorcy,zależne od
stopnia kultury i wrażliwości estetycznej,przeżycie artystyczne,a w
tym przeżyciu udostępnia się jakgdyby odbiorcy wizja artysty,a po-
średnio i osobowość artysty.Oczywiście w sposób dość odmienny - już
bowiem droga od wizji do jej wyrazu zaciera jej ostrość,a przyjmowanie
dzieła sztuki zawsze musi się odbywać w pewnej mierze według praw
wewnętrznych osobowości "odbiorcy".

Streszczając to co wyżej o procesie twórczym i procesie "odbioru"
- powiemy,że autentyczna sztuka wyrasta z wewnętrznego bogactwa oso-
bowości artysty,które obiektywując się,wyrażając,wzbogaca zarówno
osobowość twórcy,jak i osobowości niezliczonych odbiorców.I w tym
leży istotny sens sztuki.Sztuka nie jest ani "dla sztuki",ani dla
państwa,lecz dla człowieka.Ma człowiekowi służyć - a służy mu przez
to,że przyczynia się do rozwoju jego osobowości,do dopełnienia jego
człowieczeństwa.

W jakiż jednak sposób sztuka przyczynia się do rozwoju osobowości,
czym bogaci osobowość twórcy i odbiorcy? Tu dochodzimy do najtrud-
niejszego punktu naszych rozważań,których schematyczność razić może
niejednego czytelnika,a jednak bez schematu obejść się tu nie możemy.

Chodzi mianowicie o to: wizja artystyczna,z której wyrasta dzieło
sztuki,jest wizją sensowną,znaczącą,wyrażającą.Wizja artystyczna -
niezależnie od tego czy jest związana z jakąś rzeczywistością ist-
niejącą obiektywnie,czy też jest całkowicie dziełem imaginacji twór-
czej, - charakteryzuje się tym co nazywamy deformacją artystyczną,a
co w gruncie rzeczy nie jest niczym innym,jak próbą wydobycia,pod-
kreślenia sensu tej rzeczywistości,sensu który nie byłby może do-
stępny przy realistycznym,naturalistycznym jej przedstawieniu,tak
jak ów sens zazwyczaj nie jest bez głębszej refleksji dostępny ob-
serwatorowi jakiejkolwiek rzeczywistości nie przetworzonej artysty-
cznie,obserwatorowi który z konieczności percepuje tylko zjawiskową
tej rzeczywistości powierzchnię.

A ten sens o którym mowa,to sens metafizyczny,głęboko ukryta i-
stota rzeczy,zespół prawdziwych przyczyn i celów,prawdziwy,najgłęb-
szy sens rzeczy i zjawisk bytu i stawania się.Artysta chwyta ten
sens /nie zawsze świadomie/ jako odpowiedź na pytania rodzące się z
metafizycznej tęsknoty,z przyrodzonego każdemu człowiekowi głodu bez-
względnej prawdy,bezwzględnego dobra i bezwzględnego piękna.Owa tę-
sknota nigdy nie zaspokojona bez reszty,rodzi metafizyczny niepokój,
konieczny klimat,wszelkiej prawdziwej sztuki.

Ta metafizyczna tęsknota,jak powiedzieliśmy,nie jest wyłącznym
przywilejem artysty,jest ona złożona w naturze każdego człowieka i
każdy człowiek obowiązany jest do tego by tej tęsknoty nie zagłuszać,
nie rozpraszać swojej osoby na naskórku rzeczywistości,ale by szukać
odpowiedzi na pytania rodzące się z tej tęsknoty i z tego niepokoju -
budując swój światopogląd.A może nawet nie światopogląd /o ile przez
to pojęcie rozumieć będziemy racjonalne formułowanie odczucia sensu
świata/ - bo w gruncie rzeczy światopogląd nie jest celem dla siebie,
lecz ma służyć człowiekowi,ma mu dopomóc do odnalezienia własnego
miejsca w świecie i roli którą ma na theatrum mundi odegrać,oraz do
tego by tę rolę mógł jaknajlepiej wypełnić.Otóż racjonalna formuła
światopoglądu nie jest bynajmniej konieczna człowiekowi,by mógł wy-
pełnić swą metafizyczną rolę.Prosta obserwacja humanistyczna poucza
nas,że bardzo często ludzie o prymitywnym światopoglądzie doskonale
wypełniają swoje powołanie życiowe,i odwrotnie nieraz ludzie o bar-
dzo subtelnym i wyrafinowanym światopoglądzie,nie potrafią rozwiązy-

wać najprostszych problemów życiowych, nie mogą znaleźć swego miejsca. A dzieje się tak dlatego, że w drugim wypadku, światopogląd, będący tylko abstrakcyjną formułą racjonalną, odciętą od wszelkiego związku z życiem, z rzeczywistością, - nie daje orientacji w tej rzeczywistości, a tym samym, pozbawiony kryteriów obiektywnych i niemal możliwości sprawdzania, narażony jest na jaskrawe błędy i wypaczenia. Natomiast w wypadku pierwszym, światopogląd mało rozwinięty - zawiera jednak pewne bezpośrednie, często podświadome odczucie, czy ogląd sensu świata, ujmując go tak właśnie jak ten sens, wcielony w świat, w nim istnieje. Nie głosimy tu rzecz prosta żadnego antyintelektualizmu, przestrzegamy tylko przed niebezpieczeństwem czystego racjonalizmu. Świat nie jest konstrukcją rozumu ludzkiego ale stanowi rzeczywistość istniejącą obiektywnie, dlatego podstawą światopoglądu musi być intuicja metafizyczna, bezpośrednie odczucie sensu rzeczywistości otaczającej. Jeśli na tym "światopoczuciu" zbudowana jest logiczna, racjonalna konstrukcja, która ostro rysuje i formułuje ów sens dany w bezpośredniej intuicji, tym lepiej - byleby tylko ta konstrukcja nie traciła nigdy swoich fundamentów.

W tym też, szerokim znaczeniu słowa światopogląd, mówimy, że każdy człowiek jest obowiązany do wypracowywania światopoglądu, a zwłaszcza obowiązany jest do tego artysta, jako ten którego dzieło ma szczególnie silny rezonans społeczny i który bezpośrednio wpływa na tworzenie struktur świata rzeczy ludzkich. Boć jest rzeczą oczywistą, że w dziedzinie tworzenia kultury, światopogląd, jako teoria wartości jest niezbędny. Wszelka prawdziwa kultura jest metafizyczna. Nie co innego, jak właśnie "odmetafizycznianie" kultury na przestrzeni czasów nowożytnych /równoznaczne z rozwojem naturalizmu/ jest źródłem jej dzisiejszego rozkładu.

Postawionego artyście wymagania światopoglądu nie należy jednak interpretować zbyt prymitywnie. Przedewszystkim, trudno żądać od artysty by miał ostry, wyraźnie sformułowany światopogląd polityczny. Tu bowiem tkwi niebezpieczeństwo, że ten ostro sformułowany, gotowy światopogląd, w którym wszystkie problemy są "załatwione", będzie właśnie abstrakcyjną formułą, przyjętą z zewnątrz, nieprzeżytą, niewypracowaną i nie dającą istotnego rozumienia, widzenia sensu świata. Taki gotowy światopogląd zabija sztukę. Oczywiście światopogląd artysty i wogóle światopogląd każdego człowieka powinien być mocny, to znaczy w głównych swych wytycznych, podstawach, liniach kierunkowych ostro i wyraźnie nakreślony. Ale jeżeli chodzi o szczegóły, o konkretne sytuacje i problemy życiowe, to ich sensu i rozwiązań nie można odkrywać przez sztywne stosowanie formuły, ale tylko przez humanistyczne rozumienie, zgodne wprawdzie z owymi niezmiennymi zasadami, wytycznymi, ale uwzględniające całą humanistyczną komplikację i bogactwo życia. To też powtarzam raz jeszcze, - pierwszorzędne znaczenie ma tu bezpośrednie, intuicyjne chwytanie sensu wcielonego w knkretną rzecz, zjawisko, czy sytuację.

Odrzucenie światopoglądu "gotowego", ma jako konieczną konsekwencję stwierdzenie dynamiczności światopoglądu. Artysta i wogóle człowiek, musi się światopoglądu dopracowywać przez całe życie, - ciągle musi go szlifować, docierać, poprawiać a nieraz i całkowicie przebudowywać. Dlatego też w każdym przekroju czasowym, światopogląd ten jest tylko pewnym przybliżeniem do obiektywnej prawdy, do obiektywnie w bycie i stawaniu się istniejącego sensu - a wizja artystyczna, czy jej wyraz - dzieło sztuki, nie zawiera tego metafizycznego sensu w jego pełnym, istotnym wyglądzie, ale i tu jest tylko przybliżeniem, próbą leżącą na linii odpowiedzi na jakieś metafizyczne pytanie.

Wróćmy jeszcze do problemu "wyraźności" światopoglądu, tym razem w dziele sztuki. Otóż mówiliśmy, że dzieło sztuki musi zawierać pewien sens metafizyczny, istotny sens treści dzieła sztuki. Otóż ów sens musi być z tą treścią organicznie, od wewnątrz związany, wrośnięty w nią, a nie może być czymś dodanym z zewnątrz, sztucznie, mechanicznie wmontowanym. Nie może on zatem pochodzić niejako z mózgu, czy z woli arty-

sty,ale musi wyrastać z całej jego osobowości,z integralnego przeżycia żywej prawdy,musi być dany,razem z treścią w którą jest wcielony, w tym właśnie przeżyciu które jest źródłem wizji artystycznej i dzieła sztuki.

Tu dotykamy sprawy tendencji w sztuce.Tendencja jest /przynajmniej tak ją rozumiemy, les définitions sont libres - / właśnie takim narzucaniem z zewnątrz sensu; polega ona na tym,że twórca świadomie konstruuje czy modyfikuje swoją wizję artystyczną,dociąga ją do racjonalnej tezy światopoglądowej,którą dzieło sztuki ma ilustrować. Twórca może głęboko wierzyć w słuszność swojej tezy i w najlepszej wierze może chcieć w ten sposób służyć swej prawdzie - mimo to jednak tak pojętą tendencyjność trzeba w imię prawdziwej sztuki odrzucić.Dlatego właśnie,że to wiązanie sensu z treścią odbywa się w sztuce tendencyjnej zbyt płytko i mechanicznie,że twórca zdradza tu główny cel sztuki,którym jest służba człowiekowi,poprzez bezinteresowną służbę prawdzie.Sztuka musi być bezinteresowna - co nie znaczy nieodpowiedzialna.Artysta musi mieć światopogląd - ale jego walka o realizację tego światopoglądu w świecie tworzonym przez człowieka w świecie kultury,nie polega na artystycznej propagandzie tez tego światopoglądu,ale na bezpośredniej służbie prawdzie,próbą dotarcia do której jest ów śwuatopogląd,na pokazywaniu poprzez sztukę metafizycznego sensu świata - zdobywanego przez artystę w integralnym,organicznym tego świata przeżywaniu.

Tę różnicę między światopoglądem a tendencją w sztuce,doskonale ilustruje dość żywa w ostatnich latach międzywojenna dyskusja na temat powieści katolickiej opierająca się zwłaszcza na bogatym materiale powieści francuskiej.Porównanie np.twórczości Bourgeta czy Bordeaux z powieścią Mauriaca lub Bernanosa,prowadzi do niechybnego wniosku,że już nie tylko z punktu widzenia sztuki,ale nawet jeśli chodzi o interesy walczącej grupy wyznawców danego światopoglądu,w tym wypadku katolicyzmu,większą skuteczność posiada prawdziwa sztuka, reprezentowana przez Mauriaca czy Bernanosa od typowo tendencyjnego "roman a these" Bourgeta.Punktem wyjścia Bourgeta jest wyraźna,ostro sformułowana teza - na niej się opierając konstruuje Bourget z dużym zresztą wkładem niewątpliwej fantazji twórczej,całą wizję rzeczywistości,mającą ową tezę ilustrować.Wynik jest jednak,przynajmniej dla krytycznego czytelnika,nieprzekonywujący.Prawdziwy twórca jak np.Bernanos,w głębokim i tragicznym przeżywaniu świata zdobywa jego sens - i pokazuje ten sens poprzez cały ten żywy,prawdziwy,ludzki świat.Teza jest tutaj raczej punktem dojścia dzieła sztuki,ale nie jest ona nigdy wyrażona explicite,lecz pokazana właśnie w tym swoim wcieleniu w jakim się artyście objawiła.Prawdziwa sztuka obywa się bez łopaty przy wykładaniu swojego sensu.

Ten sam problem tendencji możnaby pokazać na przykładzie literatury lewicowej,t.zw.proletariackiej.O tyle jednak trudniej,że nie widzę właściwie przykładów takiej literatury prawdziwie nietendencyjnej. Chyba nawet największy i najczystszy z pisarzy lewicowych - Malraux - nie jest wolny od tendencji,od naciągania rzeczywistości,od deformacji prawdy w interesie tezy.

Rozważając kwestię niezbędności światopoglądu w sztuce oraz różnic zachodzących między światopoglądem a tendencją,usiłowaliśmy pośrednio odpowiedzieć na pytanie o cel i sens sztuki - odpowiedzi tej formuła wyglądałaby mniejwięcej tak,że sztuka ma służyć człowiekowi jako osobie,odkrywając przed nim najgłębszy metafizyczny sens świata, sens istnienia i stawania się,a zarazem jego własny sens,jego rolę i powołanie.Oczywiście rozważania te z konieczności były bardzo schematyczne i próba sztywnego stosowania takiej formuły jak powyższa,mijałaby się z celem i prowadziła do nieporozumień.Słuszność naszej odpowiedzi może się wydawać wątpliwa w odniesieniu do takich sztuk jak plastyka czy muzyka - a jednak i tu teza ta jest prawdziwa - martwa natura Cézanne'a czy sonata Prokofiewa także odkrywa nam najgłębszą istotę rzeczy.Nie będziemy tu analizować tej trudnej sprawy i wykry-

wać dróg na których w sztukach tych odbywa się docieranie i wyrażanie istoty rzeczy,dróg niewątpliwie subtelniejszych od tych na których pracują sztuki o wyraźnej,logicznie uchwytnej treści.Poprzestańmy więc na stwierdzeniu,że każda prawdziwa sztuka musi bezpośrednio czy pośrednio zaspakajać metafizyczny głód człowieka i to jest jej funkcją najważniejszą i najistotniejszą,choć nie wyłączną i nie jedyną.

Dyskusja kwestii światopoglądu i tendencji wyjaśnia poniekąd problem wolności sztuki od strony artysty,pozostaje jednak otwarty problem prawdziwości światopoglądu.Postawiliśmy tezę,że światopogląd jest usiłowaniem zbliżenia się do prawdy obiektywnie istniejącej w rzeczywistości - fakt jednak współistnienia szeregu światopoglądów diametralnie nieraz między sobą sprzecznych,prowadzi do oczywistego wniosku,że nie wszystkie światopoglądy są prawdziwe,albo raczej,że istnieją światopoglądy mniej lub więcej prawdziwe lub fałszywe,bo każdy światopogląd przynajmniej część prawdy zawiera.W przeciwnym bowiem razie,światopogląd bezwzględnie i integralnie fałszywy.mógłby mieć zwolenników tylko w przerażającym wypadku absolutnego zakłamania,bezwzględnie złej woli i całkowitej rezygnacji z dążeń metafizycznych.

Otóż problem o który nam teraz chodzi,to kwestia czy i w jakim stopniu zbiorowość,dodajmy zbiorowość zorganizowana politycznie w państwo,ma prawo wyrokować o prawdziwości światopoglądu,a nawet światopogląd uznany za prawdziwy narzucać. A więc problem ortodoksji.

Wróćmy tu do założeń historycznych które postawiliśmy na początku: jedynym wyjściem z dzisiejszego impasu historycznego jest personalizm.Jaki będzie stosunek państwa personalistycznego do wolności sztuki - szerzej do wolności kultury,wolności myśli i słowa,wolności światopoglądu - zważywszy,że państwo to nie będzie bezbarwnym,neutralnym państwem liberalnym,ale państwem ideowym,realizującym w życiu zbiorowym pewną wyraźną ideologię,pewien światopogląd?

Otóż w zestawieniu z liberalizmem i totalizmem,personalizm cechuje wyraźna różnica jakościowa.Liberalizm był agnostyczny: niema prawdy bezwzględnej,lub też jest ona nam niedostępna,zatem tyle prawd, ilu ludzi,a każda jest równie wartościowa.Totalizm zrobił z państwa kościół,kościół przyrodzony,bez Boga /końcowy etap dialektyki naturalizmu/, - ten kościół-państwo,posiada pełną,bezwzględną prawdę i tę prawdę - światopogląd wszystkim swoim obywatelom narzuca,choćby siłą.Otóż personalizm jest jednocześnie ideologiczny i antyideologiczny.Ideologiczny w tym sensie,że posiada wyraźną teorię wartości, a zatem wyraźną antropologię i nie mniej wyraźną koncepcję struktury życia zbiorowego,i tę strukturę zbiorowości usiłuje realizować. Natomiast jest antyideologiczny w tym sensie,że jest realistyczny /w znaczeniu tego słowa zupełnie odmiennym i bardzo odległym od tego co przed wojną nazywano realizmem politycznym/,że opiera się na pełnej, materialnej i duchowej rzeczywistości ludzkiej,że obce mu są wszelkie mity polityczne i ideologie wyrastające z mózgu a nie mające pokrycia w rzeczywistości,a co zatym idzie,żadnej ideologii nie ogłasza za obowiązującą i jej nikomu nie narzuca.Bo wie,że struktury życia zbiorowego mają służyć osobie,i że osoba sama,własnym całożyciowym wysiłkiem zdobywa prawdę świata i kształtuje prawdziwy światopogląd,a że państwo nie jest w żadnej mierze tej prawdy depozytariuszem.Wie również,że narzucenie światopoglądu jest możliwe tylko pozornie,tylko zewnętrznie,że w gruncie rzeczy o przyjmowaniu światopoglądu "oficjalnego" decyduje niemal zawsze oportunizm: obawa przed sankcjami,lub też chęć zrobienia interesu.W wypadkach takich światopogląd ten nigdy niemal nie kształtuje zasadniczej postawy życiowej, nie ma związku z metafizycznymi interesami człowieka,stanowi tylko namiastkę,ersatz.

A wreszcie - kierownictwo państwa personalistycznego posiada oczywiście wyraźny światopogląd,wierzy,że jest on prawdziwy i pragnie jego zwycięstwa,jego upowszechnienia.Wie jednak,że prawdziwe zwycię-

stwo jest możliwe tylko od dołu,od wewnątrz,bez żadnego przymusu i bez żadnego interesu,tylko dlatego,że ów światopogląd jest prawdziwy, że najlepiej odpowiada metafizycznej tęsknocie człowieka.A o tej prawdziwości może przekonać przeciętnego obywatela skuteczność realizacji politycznych płynących z ducha personalizmu.Zatem państwo stwarza tylko warunki możliwie najlepsze do powstania kultury personalistycznej,opartej na światopoglądzie o którym mowa,stwarza odpowiedni klimat w którym ta kultura może się rozwinąć jako od dołu powstająca samorzutnie potężna fala,która za sobą porwać i wciągnąć w swój nurt winna cały naród.

Oczywiście - personalizm nie jest liberalizmem,ani też jakimś neoliberalizmem - państwo personalistyczne musi być silne,autorytatywne,musi w interesie osoby ludzkiej,jej prawą i obowiązku rozwoju, stosować daleko nieraz posunięty interwencjonizm,zwłaszcza w życiu gospodarczym,społecznym,politycznym,ale także i w kulturze,w wychowaniu,w sztuce.Jeżeli dzieło sztuki,choćby o wysokich wartościach artystycznych,formalnych,wpływa rozkładowo na moralność,na konstrukcyjne wartości osoby "odbiorcy",jeśli narusza pewne powszechnie przyjęte podstawy porozumienia,pewną umowę społeczną,to tym samym,to dzieło sztuki nie spełnia swojego celu,bo na miejscu prawdy stawia błąd, kłamstwo - i państwo ma nie tylko prawo,lecz obowiązek uniemożliwić rozpowszechnianie wśród mas obywateli danego dzieła sztuki.Oczywiście - est modus in rebus - taka cenzura nie może stanowić uprawnienia komisariatu policji,ani też starostwa,lecz należeć będzie do jakiegoś samorządu kultury.Ale nie o to w tym wypadku chodzi,tylko o zasadę pierwszeństwa prawdziwego interesu osoby.

Tak więc państwo posiadając i realizując światopogląd w którego prawdziwość wierzy - nie narzuca go,tylko ułatwia społeczeństwu dojście do niego,wychowuje je w jego klimacie,wierząc,że w ten sposób najpewniej przygotowuje jego zwycięstwo,że powstająca od dołu fala "realistycznej ideologii" może z czasem doprowadzić do jednolitości całego społeczeństwa,czyli do "nowego średniowiecza" /bo tylko w tym sensie idea "nowego średniowiecza" wydaje się być do przyjęcia/. Że taka od dołu powstająca jednolitość ideowa otwiera wprost fantastyczne możliwości rozkwitu kultury,tego chyba nie trzeba dodawać.A droga do tej jednolitości oczywiście jest dużo mniej efektowna i dużo wolniejsza od metod totalnych,ale też jedynie skuteczna,bo rozpoczynająca budowę od fundamentów i realizująca pełną rzeczywistość człowieka. I tylko na tej drodze możliwe jest narastanie nowego kształtu epoki i likwidacja dzisiejszego antyhumanizmu.

Postój

Kościół przebijał kasztany zielone
jak wśród żołnierzy habit mnicha.
Gdy przejeżdżałem słońce,pełna konew,
sypało się jak w dno kielicha.

Tutaj znalazłem pod bluszczem i nardem
ukrytych przed stąpaniem wroga.
Domy ich były jak dłonie otwarte,
bez krzyży jak mogiły pogan.

Ręką z omszałej kropielnicy
wyrysowałem znak w ich progi.
I wtedy jak ptak zza dzwonnicy
trąbka wołała mnie do drogi.

\+ +
\+ +
\+

Jest przy kościele sad,którędy rano
wystarczy przebiec by podałać myśli
o sankiulotach uśpionych pod pianą
i fal i czeremch ,jakgdyby zawiśli
nię dosięgnąwszy tłumu własnych cieni,
które rzucają im różdżkę zieleni

gdzieindziej zwaną niebytem.Z witraży
zszedł święty Krzysztof,ma tylko przód ciała,
dziecko na barkach i brózdy na twarzy
i chód zabawki.Zaśniedziałe działa
pod kwitnącymi czereśniami stoją,
motyl spadł w ciernie,fatum błysło zbroją.

Niema kościoła lecz sama fasada,
na zimnych skarpach jaszczurki się grzeją,
gdy wiatr strzałami w pęknięciacj przepada,
aż tu goniony pierząstą zawieją
nasion po mleczu,którą zasypane
jaszczurki błądzą jak pnącze przez pianę.

\+ +
\+

Groby żołnierskie znikły w rozchodniku
na trzecie lato wojny.Kto ukocha
myśl o poległych gdy pamięć jest płocha
jak okrzyk w dzbanie?Siło,nie pomniku
drewnem sypiący między nasze trawy,
ja ciebie czuję i wkrzeszam do jawy.

Wieczór,opłatki,piach,jałowiec,wzgórza
widać przez szczerby czółna które śwista
płynąc pod cmentarz,gdzie ewangelista
cały w gałązkach i z mchem u podnóża
ni furt ni bramy ni wzgórz nie otwiera,
odkąd tu weszła ledwo wszczęta era.

Jakże jest piękna nienawiść,gdy płoszy
sen tyranowi.Śmierć,to dzieło,duchu,
które w nas żywych drży jak cios w obuchu
zanim uderzy i zanim spustoszy
i cios za ciosem zanim powytraca
zbirów tyrana.Duchu,śmierć to praca.

Była niewola,klęska i nadzieją,
my uczynimy z niej warsztat płatnerzy,
aż duch zadymi z nas jak cień od wieży,
jak wnętrze dzwonu.Wzrosną nie zmaleją
siły mej ziemi,co jej przeznaczyły
nim powie: jestem ! pomnażąć mogiły.

BIAŁA NOC

Wszystko zamyka ta noc, jakby zbudowana z drobnych odłamków szkła, krążących naokół, boleśnie wbijających się pod skórę, żrących żywą tkankę. Noc, wielokrotnie przekreślona jaskrawym blaskiem reflektorów, krzyżującym się w górze, nad kompleksem bloków. Męcząca, biała noc.

Capo ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Od tej chwili każdy jego krok, to wyzwanie, rzucone zbliżającej się śmierci. Capo idzie jej naprzeciw, jednak do ostatka pragnie być panem swego losu, chce, żeby jego śmierć do niego samego tylko należała. Boso skrada się korytarzem, drżąc z zimna w naprędce zarzuconym drelichu..."jeszcze nie czas - powtarza - jeszcze nie czas..nie mogą mnie tutaj znaleźć...sam ich poszukam". Dalej posuwa się z mniejszym trudem - ręką błądząc po ścianie, znajduje wreszcie drzwi, wiodące nazewnątrz.

Capo ma lat dziewiętnaście i poczucie własnej nicości. Ale to od wczoraj dopiero, od chwili, kiedy zaczął się nad tem zastanawiać. Przedtem w ciągu tych dwóch lat, żył jak we śnie, nie odróżniając marzenia od jawy, gorączkowo stwarzanych fikcji od rzeczywistości. Po roku spędzonym w obozie, nieopisanym roku, sam nie wiedząc dlaczego, otrzymał żółtą opaskę z napisem: "capo ", którą kazano mu nosić na lewem ramieniu. Od tego dnia jako starszy więzień, wyznaczany bywał do przewodnictwa grupom nowoprzybyłych. Uczył ich musztry obozowej w trzydniowym okresie przeszkolenia, potem doglądał ich codziennej pracy. Sam już nie pracował.

Nie zdając sobie z kompleksów, jakie wytworzyło w nim życie obozowe uważał za rzecz naturalną, że - znosząc dawniej najniesłuszniejsze kary połączone ze straszliwym biciem pięścią po głowie, kopaniem w brzuch i innemi akcesoriami pomocniczymi, teraz sam miał prawo ich udzielać. Toteż z najdoskonalszą bezmyślnością i najbardziej pierwotnem okrucieństwem katował towarzyszy. Psychika tropionego, szczutego zwierzęcia, które drżąc przed silniejszym, zabija słabsze od siebie, znalazła w nim doskonały wyraz.

Teraz Capo, ubrany w popielaty, niebiesko prążkowany drelich więzienny, przylega do ściany bloku, wstrzymując oddech i zatracając na chwilę świadomość rzeczywistości. Obok przechodzi nocny patrol obozu. Dwaj SS-mani w szczelnie zapiętych płaszczach, paląc papierosy, rozmawiają półgłosem. Nad ich głowami lśnią matowo lufy ręcznych karabinów maszynowych Słychać krótki, urwany śmiech.

Capo odrywa się od muru. Teraz musi przebiec zalaną światłem reflektora przestrzeń, dzielącą go od następnego, zbawczego bloku. Rozgląda się ostrożnie, potem trzema susami przebiega niewielką odległość. Wstrząsany gwałtownym dreszczem, z kroplami potu na skroniach, oddycha jednak z ulgą. Znajduje się teraz u ścian 20-tego bloku, zbudowanego na krańcu obozu, bloku, za którym niema już nic. Tutaj właśnie czeka go wolność. Dźwięk tego słowa, szeptanego teraz półgłosem, przywraca teraz nieprzyjemne uczucie ucisku w piersiach. Suchy język nie może zwilżyć spalonych gorączką warg, które uparcie, wkółko powtarzają to jedno, dziwaczne, niezwykłe słowo : w o l n o ś ć.

Jest chwila, w której Capo najwyższą rozkosz znalazłby w rozpaczliwym obłędnym tłuczeniu głową o mur bloku. Znowu wraca wczorajszy wieczór, moment po apelu, gdy Jacek, nieprzytomny ze zmęczenia, upuścił menażkę z porcją pomyj, mających zastąpić wieczorną kawę. Brudna struga rozlała się po świeżo zamiecionej podłodze. Wówczas Capo jednym uderzeniem pięści powalił Jacka na ziemię, potem chwyciwszy najbliżej stojącą, ciężką menażkę, rzucił ją w twarz jego z taką siłą, o którą sam nigdy się nie podejrzewał. Jacek nie krzyczał. Słychać było tylko jego ciężki oddech i stłumiony bólem i zdumieniem jęk:

...no, ty...

Capo uderzeniem podkutego obcasa wtoczył leżącemu ten jęk zpowrotem do gardła, potem usiadł na pryczy, wyciągnął z kieszeni kawał na kość zeschłego chleba i jął go żuć powoli i spokojnie.

Obłąkany wzrok i ostatni jęk zamordowanego towarzysza wrócił doń dopiero później, gdy z tamtego pozostała już garść popiołu. Wtedy Capo odgrzebał w swej młodej pamięci niewiarygodne chwile, gdy – na wolności – siedzieli z Jackiem na jednej ławce w polskim gimnazjum, pomagając sobie w tłumaczeniu Liwiusza. Ze zdumieniem, na trzeźwo myślał teraz o dniu, w którym spotkał Jacka w obozie, Jacka zmienionego do niepoznania, z ogoloną głową i błędnymi, przerażonymi oczami. Capo nie czuł wtedy współczucia, raczej coś w rodzaju złośliwego zadowolenia, że oto ten Jacek, który używał wolności, podczas, gdy on, Capo, już tak dawno...no, więc, że Jacek także znalazł się tutaj. A zresztą...właściwie nic go to już nie mogło obchodzić.

Trwa biała noc i Capo, szczękając zębami, dobiega myślą punktu, gdy dzisiaj rano opadła zeń jakgdyby ciężka powłoka, w której tkwił od wielu miesięcy. Z przerażającą jasnością zrozumiał wszystko. I to postanowienie dojrzało w nim w tym samym ułamku chwili. Chociaż jeszcze przed paroma godzinami, leżąc na pryczy, próbował przypomnieć sobie słowa dawno nie odmawianej modlitwy, odrzucił ją wreszcie jako pokusę słabości. Nie umiał zrezygnować ze swojej dzikiej, dziewiętnastoletniej dumy. Więc znowu wróciła stanowcza, nieodwołalna decyzja i właściwie Capo czuje się już wolnym, zupełnie wolnym. Upaja się wolnością.

Jeszcze tylko dziesięć kroków. Ale każdy z nich wymaga doskonałego rozsądku i nieugiętej siły woli. Bo jeden z zewnętrznych, ruchomych reflektorów błądzi właśnie w pobliżu. Złotawe, mdłe światło liże mury ostatniego, 20-tego bloku, ostatniej przystani.

W odległości dziesięciu kroków biegnie potrójna linia drutów wysokiego napięcia. Rozciągnięte między słupami z betonu, biało malowane druty wyglądają niesamowicie i Capo wyobraża sobie, że dziwnie brzęczą, grożą czy ostrzegają. Blok dwudziesty znajduje się w jednym z rogów obozu, w pobliżu wartowni, zbudowanej wysoko, ponad drutami, odcinającej się czarną sylwetą na granatowym tle nieba. Capo myśląc o wartowniku, tęgim SS-manie o przekrwionych oczach, siedzącym przez całą noc gotowym do strzału karabinem, wie z całą pewnością, że ten reprezentant uzbrojonej siły nigdy nie osiągnie wolności. Zato on, Capo, wychodzi jej naprzeciw.

Dziesięć trudnych kroków, które trzeba przebyć, zanurzając stopy w mdłym, złotawym świetle. Druty brzęczą już teraz zupełnie wyraźnie, białe druty z węzłami kolców, wznoszące się zaporą trzechmetrowej wysokości. "Właściwie elektryzowana jest tylko ostatnia, trzecia linia, ale zobaczą mnie z pewnością wcześniej" – myśli Capo, skurczoną dłonią nerwowo rozsuwając koszulę na piersiach. I nagle odzyskuje zupełny, chłodny spokój. Odrzuca dumnie zgrabną, po męsku piękną głowę i pełen nieopisanego zachwytu wstępuje w śmiertelny krąg światła.

Nie słyszy już trzasku repetowanego karabina, ani ostrego, długiego gwizdu, raniącego noc. Światło ruchomego reflektora zatrzymuje się przez chwilę na krwawym, bezwładnie zwisającym na drutach strzępie ludzkiego ciała.

2.

Obóz szumi jak muszla. Kolumny ustawiają się do apelu przy makabrycznym akompaniamencie suchych uderzeń, stłumionych krzyków, szurania podkutych butów. W oddali trzy następujące po sobie strzały. Więźniowie kłębią się bezwładnie, w szarych drelichach sprawiają wrażenie mrowiska, zburzonego złośliwą ręką. Jest godzina czwarta nad ranem, skostniałe z zimna ręce nie potrafią przepisowo zdjąć czapki przed przechodzącym przodownikiem. Więzień, któremu wypadnie czapka ze zgrabiałych palców, może zostać skatowanym do nieprzytomności, lub zabity na miejscu, zależnie od humoru przodownika.

Dwie godziny czekania na apel w postawie na baczność, z odkrytą głową wśród przenikliwego zimna, są momentem czwartego wymiaru, czasem o własnej rzeczywistości, pozbawionej pierwiastków ludzkich. Mdlejących podtrzymują towarzysze, potem składają ich na mokrych, oślizgłych płytach piaskowca, którymi dookoła brukowany jest plac. Na apelu muszą być wszyscy, są więc żywi i umierający, którzy kończą przed rozwiązaniem zbiórki.

Rozwidnia się powoli. Coraz wyraźniej zarysowują się poszczególne po-

staci.Ogromną większość stanowią Polacy,więźniowie polityczni,ze znakiem czerwonego trójkąta,na lewej piersi,ponad naszywką z numerem ewidencyjnym.Dalej wielu żydów francuskich,najwięcej Paryżan,ubranych w najgorsze,zielone drelichy,podarte i brudne,ze znakiem żółtej gwiazdy.Wśród więźniów niemieckich przeważają kryminalni,ze znakiem zielonego trójkąta,lecz niebrak i politycznych,głównie komunistów i dezerterów.Mniejszości obozowe stanowią Czesi,Duńczycy,Holendrzy i Rosjanie.

Koniec apelu rozpływa się w opadającej mgle.SS ćmią papierosy,gestykulując między sobą dłońmi,ubranemi w skórzane rękawice.Na ciepłe płaszcze narzucone mają polowe płachty,zpod których sterczą lufy karabinów.Ci stanowią eskortę kolumn,pracujących poza terenem obozu.

Mgła opada coraz niżej.Huczy miarowy krok oddziałów,wyprowadzanych do pracy.Na wartowni u wyjścia krótkie meldunki,potem dwugodzinny marsz.Dzień obozowy liczy się podwójnie.W mieście Oświęcimiu teraz dopiero budzą się ludzie,wyrwani ze snu stukiem butów maszerujących dolatującym zza okien.Za chwilę wschodzi słońce.

SS poprawiają karabiny.Krzyczą za przebiegającym chłopcem,który sprzedaje papierosy.Smarkacz o błyszczących oczach,patrzących niespokojnie z pod grzywy złotych włosów,podchodzi bliżej.Więźniów obrzuca ukradkiem jednym tylko spojrzeniem,podnosi monetę,rzuconą przez SS - mana i szybko ucieka.Kolumna maszeruje dalej.

Świat tych zgłodniałych,wychudzonych ludzi zaczyna się i kończy w stalowym błysku kilofa.Pochyleni,podobni do sprężonych łuków,pod groźą karabinów pracują bez przerwy.Chwial odpoczynku kosztuje zazwyczaj śmierć,lub conajmniej wybicie zębów,rozkrwawienie głowy.Zimne,wczesnowiosenne słońce dawno już przesłoniły chmury.Pada grad,ciężki,raniący twarze,pokrywający cienką warstwą lodu przemokłe,zesztywniałe drelichy.SS podniósłszy kołnierze płaszczy schronili się w pobliskim, opuszczonym domu,przez otwarte bacznie obserwując pracującą kolumnę. Te godziny są wyjęte z dna piekła.

Potem Mietek zaczyna się słaniać przy łopacie,po chwili przyklęka na jedno kolano,wreszcie przewraca się na piersi.Capo przyskoczył natychmiast,drzewcem własnego kilofa ,bezmyślnie bije zemdlonego po plecach,karku,ramionach.Warczy przytem:

-Wstawaj - och,wstawaj,łajdaku,nie przywieźli cię tu na wypoczynek ! - wstawaj,psiakrew !

W słowach tych niema jednak nienawiści do Mietka,czy któregokol - wiek z innych towarzyszy.Jest coś więcej,jest nienawiść,nie dająca się określić,nienawiść kosmiczna do Boga,ludzi,do siebie samego.

- Och,to bydlę już nigdy nie wstanie -

Leżącego nie wolno podnieść przed ukończeniem pracy.Mietka uratowało wówczas to,że zemdlał na kwadrans przed sygnałem do zbiórki.

FOrmują się kolumny do powrotu.Wracającym każe się śpiewać niemieckie pieśni,mówiące o tem,że praca daje wolność. " ARBEIT MACHT FREI - ta sama dewiza wita więźniów z bramy obozowej.Taka jest prawda tych dni.

3.

-Cierpisz zato,że jesteś Polakiem - za nic więcej - tłumaczy podniecony Andrzej z wypiekami na twarzy.- Zato,że jesteś Polakiem,psiakrew.

-Zacóż więc cierpią ci Czesi,Holendrzy,Francuzi,ci Niemcy wreszcie członkowie narodu wybranego,tryumfującej rasy ?

-Francuz zato,że jest Francuzem,Czech,że jest Czechem,Niemcy,to głównie kryminaliści,bandyci,złodzieje - Andrzej krzyczy prawie w przestrzeń.

-Andrzeju mylisz się.Tutaj wszyscy są braćmi.Obóz koncentracyjny jest rzeczą wspaniałą - bydło ludzkie winno się wychowywać właśnie w obozie - to uczy braterstwa.Śmierć pod murem,czy na drutach,to osiągnięcie szczytu wolności i szczytu pogardy.

Andrzej wybucha długim dzikim śmiechem.

-Mówisz o braterstwie-przypomnij tego Capo,który zabił swego przy-

jaciela,a potem poszedł na druty po wolność.

-Słuchaj,my cierpimy zato,że odważyliśmy się być ludźmi.Zato nas biją po mordzie,strzelają do nas jak do tarczy,zato zamykają nas po trzydziest w bunkrze,za ciasnym na trzech ludzi,poto,żeby...pamiętesz jak przed inspekcją Himlera,czterdziestu najcięższej chorych wytruto gazem w bunkrze,żęby swoim wyglądem nie psuli humoru szefowi SS-!

-Tak - mówi powoli Andrzej - w tem widać dużo logiki i wspaniałą konsekwencję.Sześć miesięcy obozu wystarczy ci najzupełniej na to,ażebyś przestał być człowiekiem.Jesteśmy poprostu w takiej odczłowieczającej instytucji.

-Czy wierzysz w Boga,Andrzeju ?

-Tutaj go niema.Osobiście nawet wątpię,żeby był gdziekolwiek indziej Chyba - podejmuje znowu - chyba,że zgłosił kompletne desinteresement co do spraw ziemskich.Wtedy mógłbym ostatecznie uwierzyć w jego niepotrzebne istnienie.

-Bluźnisz i drwisz,nie zabijesz jednak mimo to,własnego niepokoju.

-Nieprawda,być może,że bluźnię,ale napewno nie drwię.Ja chciałbym wierzyć,odczuwam głęboką potrzebę wiary.Tymczasem nie mogę,doprawdy nie mogę.Jeżeli to jest kwestia woli,posiadam jej na tyle,żeby wytrzymać w tym piekle do końca bez nocnych spacerów na druty,ale zamało,by wierzyć,Nie wierzę już w nic,nawet w wolność.Wierzę tylko w to.- odwijając rękaw Andrzej pokazuje Mietkowi wymalowaną na prawem przedramieniu pięciocyfrową liczbę,swój numer ewdencyjny więzienny.

-Przygotowanie do krematorium - szepce rodzina powinna dostać trochę popiołu - uśmiecha się gorzko.

Mietek milczy,myśli o swojej matce.Teraz długi przenikliwy głos gongu.

-Powiedzmy,że idziemy na kolację - mówi Andrzej.Potem pochłania ich mrok.

4

SS prowadzący Andrzeja jest młodym,przystojnym chłopcem o miłych rysach.Niktby nie przypuścił,że tem mężczyzna o twarzy dziecka potrafił jednym,zręcznym kopnięciem w brzuch zabić już kilkunastu więźniów. Teraz prowadzi Andrzeja,mimo ściskanego w ręce rewolweru,ma na twarzy uśmiech,tylko szeroko otwarte oczy narkomana odsłaniają czasem błysk okrucieństwa.W pewnej chwili uśmiech znika mu z twarzy,która cała ściąga się w zimną maskę,palce ściskają mocnej kolbę rewolweru.

Andrzej nie wie dokąd go prowadzą i niczego nie chce się domyślać. Bo domyślać się może tylko rzeczy najgorszych.Dziś przed rannym apelem Capo przyłapał go w chwili,gdy drżąc z zimna,owijałł się kocem,na ktory chciał naciągnąć drelichową bluzę.Andrzej wiedział,że zato karzą bunkrem,ale było mu już wszystko jedno.No,a teraz..Capo oczywiście na początek dał mu coś od siebie,a teraz idą w stronę jedynastego bloku.Tego już właściwie Andrzej nie musi się domyślać.Tego jest pewien.

Zatrzymują się przed zwykłymi,drewnianymi drzwiami,odwewnątrz zamkniętymi na klucz.SS-man naciska guzik dzwonka,potem uderza Andrzeja lufą w plecy,mrucząc coś pod nosem.Za chwilę otwiera Bunker-Capo,weteran obozów w Rzeszy,Niemiec,skończony sadysta,który też tutaj,w Oświęcimiu,dzierżąc jedną z najstraszniejszych godności w więziennej hierarchji,jest w zupełności właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

-Isolieren - mruczy SS,potem odchodzi.Teraz tamten nie mówiąc słowa popycha Andrzeja przed sobą.Idą długim korytarze,potem w lewo,schodami wdół.Andrzej już wie dokładnie,co go czeka.Zaciska pięści.

-Nie myśleć,..tylko nie myśleć...

Istotnie nic już nie dochodzi do jego świadomości.Jak przez mgłę słyszy Capo gwiżdżącego wkółko pierwsze takty "Questa quella" z Rigoletta.Potem zatrzymują się,już w korytarzu podziemny,Capo otwiera jakieś drzwi,wyjmuje dwa koce.I jeszcze kilka kroków naprzód.

Stoją przed okutymi stalowymi drzwiami,z małym judaszem,wyciętym w górze.Capo manipuluje pękiem olbrzymich kluczy,odsuwa jeszcze jakieś rygle.Potem uderzeniem pięści wpycha Andrzeja do bunkra,rzuca za nim koce.Drzwi zatrzaskują się,zanim Andrzej może się zorientować gaśnie

światło,zalega zupełna ciemność.Capo przekręcił kontakt,umieszczony nazewnątrz.Wraz z krokami w korytarzu oddala się melodia arii Verdi'ego.

Pierwszą myślą jest skoczyć do drzwi i walić wnie z całej siły pięściami.Andrzej zatacza się " - Jak wejdą,rzucić się na nich,niech lepiej zastrzelą odrazu.O..skurwysyny!Pan Bóg wam zapłaci! -" - najgorsze przekleństwa wiążą się w ustach ze słowami modlitwy.Andrzej podnosi pięść,ale w tej samej chwili opuszcza ją z histerycznym śmiechem, który przechodzi w urywany,spazmatyczny szloch.To wszystko trwa moment. Potem Andrzej wyczerpany ostatecznie,wyciąga się na betonowej posadzce zupełnie przybity,napół obłąkany.

Mijają minuty podobne do godzin.Myśl zaczyna pracować na nowo,oczy starają się gęstą,złą ciemność.W górze smuga nikłego światełka -andrzej przypomina sobie,że z wartowni zabrano go o piątej popołudniu,najwyżej dziesięć minut temu.Nazewnątrz musi więc być jeszcze zupełnie jasno.

Teraz dopiero myśląc o drodze,jaką tu przyszedł,zdaje sobie sprawę, że jego bunkier znajduje się chyba na jednej linii poniżej sali,w której trzymano ich tutaj w okresie przeszkolenia obozowego.Jedynasty blok karny.Źle zazwyczaj kończy więzień,który po przeszkoleniu,otrzymawszy przydział pracy,raz jeszcze wraca do tego bloku.Andrzej zdaje sobie teraz niesłychanie jasno sprawę z tego wszystkiego.

Wzrok przyzwyczaja się powoli do ciemności.Andrzej wstaje,krokami mierzy wymiary bunkra.3 x 3. W ścianie naprzeciw drzwi,na wysokości dwóch metrów,pod samym sufitem,znajduje się otwór wielkości karty do gry,zabity u wylotu grubą,stalową blachą,w której wywiercono małe otworki.Tak wygląda okienko bunkra.Wewnątrz gładkie,betonowe ściany,jedynym przedmiotem jest prycz,zbita z kilku desek.

Andrzej dostaje ataku duszności.Zwilża językiem wargi,rozrywa kołnierz drelicha.Dusi się.Ciemność znowu gęstnieje,zdaje się składać z wilgotnej,gąbczastej substancji,wciskającej się nosem,ustami do gardła. Teraz nudności,ucisk w okolicy przepony.Andrzej poprzez to wszystko pragnie przywiązać myśl do jakiegoś jednego przedmiotu,drobiazgu,co mogłoby przynieść ulgę.Ale to nie jest takie łatwe.

Znowu wracają kompleksy gmachu jedynastego.Reminiscencje pierwszych trzech dni,"Zugang" - świeży transport,po kąpieli i umundurowaniu stłoczono w dwóch salach na piętrze.Z okien widok na dziedziniec,będący równocześnie miejscem kaźni w obozie.Plac kształtu długiego prostokąta na zamykającej go ścianie,przybity do muru wielki kwadrat,spleciony z pakuł,pociągnięty słomą.Przed nim wąski pas przestrzeni,wypełniony białym piaskiem.

Andrzej pamięta dzień,w którym dwóch więźniów taczkami zwoziło świeży piasek,a inni na ręcznej platformie przywiozło sześć prostych trumien z nieheblowanych desek,wybitych wewnątrz cynkową blachą.W tych trumnach przewożono zwłoki zastrzelonych do krematorium.Andrzej pamięta,że stłoczono ich wówczas pod ścianami,nie pozwalając podejść do okien.Słyszał tylko twardą,krótką komendę,a potem krótki,jakby nie ztego świata huk salwy.Nazajutrz Bunker-Capo chodził bardziej ponury i głośnie niż zazwyczaj gwizdał arię z "Rigoletta".

Ten obraz zamyka się teraz nad nim,jak przeźroczysta tafla wodna, Andrzej leży na dnie.Mimo do bólu zaciskanych pięści,napływa jeszcze zjawa matki,która teraz o nim myśli.Potem ciemność wokoło fosforyzuje fioletem i szum wypełniający czaszkę,układa się w melodię.Andrzejowi jest prawie dobrze.Gdyby zatrzymać czas i tę chwilę,gdyby już nic nie zmieniło się w niewiadomo przez kogo ustalonym porządku.Gdyby zasnąć..

Z tą myślą Andrzej opada jeszcze głębiej,jakby na dno jeziora,Teraz błękit i dziwne zjawy nierzeczywistych istot.Śmierć - no na to jeszcze czas - sen spływa na jedwabnych skrzydłach i owija twarz niby pachnącą, delikatną wstążką,należącą do ukochanej kobiety.

Za drzwiami znowu zbliżają się kroki,słychać pierwsze takty "Questa quella".Brzęk kluczy i zgrzyt odsuwanych rygli.

Sens człowieczeństwa streszcza się w chwili po apelu wieczornym,w chwili którą zamyka gong,dający sygnał do snu.Obóz kipi.Przed poszczególnymi blokami gromady więźniów,w grupach po kilku,szukają w strzępach rozmów,spojrzeniach rzucanych z podełba,w niecpanowanych gestach błędnych dłoni,w tem wszystkiem szukają momentu,będącego samą treścią,uświadomieniem sobie nienazwanego elementu istnienia.Tragedia tej chwili polega na tem,że gdy w mozolnym trudzie,marzenie staje się już osiągalnym,gong burzy wszystko,misternie zbudowana szklana fikcja rozsypuje się w proch. Następnego wieczoru trzeba wszystko zaczynać na nowo.

Gwar,jaki teraz panuje,przytłacza wszystko.Andrzej stara się wyjść poza ten krąg,zdobyć się na najwyższy obiektywizm,stać się biernym obserwatorem.W niedającym się objąć żadnym pojęciem tumulcie pragnie odnaleźć pożądaną melodię,harmonię szukaną od dawna,która wiele powinna wyjaśnić,wiele pomóc.

Opodal Mietek skostniałymi od zimna rękami bezskutecznie próbuje zapalić wyżebranego papierosa.W błysku zapałki jawi się twarz zsiniała,opuchnięta,straszna,tak dobrze znana Andrzejowi twarz biednego przyjaciela.Z pod zsuniętej na tył głowy czapki sączy się na czoło nitka krzepnącej krwi,wspomnienie ostatniego zajścia przy pracy.W dłoni Mietka gaśnie zapałka,drugiej już nie ma,z uśmiechem,który dziwnie zniekształca mu usta,zbliża się do Andrzeja.Zapalają obaj.Pod wpływem mocnego ,jugosłowiańskiego papierosa rzeczywistość blednie,poczyna się oddalać,przynosząc pokoju i ukojenia,które kiedyś musi przecież nastąpić.To pierwszy ich papieros od rana,po całym długim,dniu obozowym

Światło lamp wokół bloków rozpływa się na dnie rozszerzonych źrenic. Ten wieczny,nieustanny gwar..Andrzejowi marzą się noce wśród tajemniczo oświetlonych bazarów,pod gorącem,granatowem niebem.I coś jak oddalony dźwięk monotonnych piszczałek,jakichś dziwacznych fletów.I brzęk owych słodkich instrumentów o strunach drgających rytmicznie.

-Druty brzęczą - mówi Mietek i śmieje się.Najpierw cicho,potem chichot staje się coraz głośniejszy.Andrzej zdziwiony spogląda na przyjaciela,tamtemu dziwnie błyszczą oczy.Andrzej z całej siły ściska mu ramię, łamiąc paznokcie wbija palce w brudny drelich.Mietek cichnie.

-Zdawało mi się - mówi już spokojnie,potem dodaje:

-To w głowie mi tak szumi - syknął,dotknąwszy zranionego miejsca nad czołem

Nadchodzą towarzysze.Urywane pytania,na które nikt nie daje odpowiedzi,padają w ciemną przestrzeń.Pustka oddzwania.Budzi się szalona tęsknota za pieszczotą miękkiej,kobiecej ręki,za słowem,które byłoby w stanie zburzyć cały ten ciężar dławiącego bólu.Wieczór wyciska na skroniach swoje nieuniknione piętno.

Otwarte drzwi bloku buchają pomarańczowym światłem.W umywalniach na parterze myją się żydzi,rozebrani do pasa.Wszystko to razem jest makabrycznym,dzikim tańcem szkieletów,których chyba przez pomyłkę dotychczas nie spalono,lub nie zakopano w ziemi.Pomiędzy nimi chodzi ogromny Niemiec,Blockältester,bandyta,niewiadomo kiedy wpakowany do Oświęcimia. Przedtem siedział już w Dachau,wtajemniczeni twierdzą,że od początku reżimu.Teraz urządza sadystyczne orgie wśród żydów paryskich,łachmanów, które były niegdyś ludźmi.

Spojrzenie,które otwarło Andrzejowi ten obraz,wraca go natychmiast rzeczywistości.Więc już bez wrażenia wzrusza ramionami,gdy obok stojący towarzysz opowiada mu szeptem o samobójstwie trzech żydów,którzy ubiegłej nocy powiesili się w sąsiedniej sali.Mietek znowu zaczyna się śmiać,ale potem przeciągły dźwięk gongu zamyka wszystko.Podwórza pustoszeją - w mgnieniu oka,zato wnętrze bloków zamienia się w bezwładne,krzykliwe rojowisko,corso żywych trupów.Zbliża się noc.

Krótki apel na sali,sprawdzanie koców,potem starszy izby gasi lampy. Więźniowie śpią po dwóch na jednej pryczy,obóz jest przepełniony.Jeden koc musi wystarczyć dwum ludziom.Okna zostają otwarte - spać oczywiście nie można z powodu straszliwego zimna.Z niespokojnego niby-snu o wpół do czwartej nad ranem wyrywa hasło niemieckiej pobudki.

Teraz Andrzej przymyka oczy,widząc najwyraźniej świat ludzi wolnych.Oto znajomi w Krakowie piją po kolacji herbatę,dyskutując na temat bliskiego końca wojny.Rozmowy trwają do późna,potem idzie się spać,westchnąwszy niekiedy,gdy ktoś przypadkiem wspomni niekiedy o więźniach oświęcimskich. Kto wrócił,kto już nigdy nie wróci...

Jeżeli Andrzej w tej chwili zazdrości czegoś tym ludziom,to tylko kolacji i własnego łóżka.Pozatem ...właściwie cała Europa znajduje się w gigantycznym obozie koncentracyjnym.Wolność..ludzie wolni....-dotąd niewiele ich było,a jak będzie - niczego nie można przewidzieć - psiakrew, kto wie czy rzeczywiście nie lepiej odrazu iść na druty.Jeżeli w ten sposób można okazać pogardę...

Mietek ściąga na siebie większą część koca,Andrzejowi jest teraz nieprawdopodobnie zimno.Sen wydaje się nieosiągalnym szczęściem.No więc..

Niewiadomo czy za oknem lśni księżyc,czy reflektor.To jest naturalnie zupełnie obojętne,ale jednak chciałoby się wiedzieć.Dlaczego - tego Andrzej także Andrzej nie umiałby wytłumaczyć.

Potem spływa nań dziwny,chłodny spokój.Nie jest to sen i jeszcze nie śmierć.Jakiś nieokreślony letarg.Tylko szum pod czaszką trwa nieustannie.

-Brzęczą druty -

Nagle w pobliżu dwa szybkie strzały,tupot nóg,stuk wojskowych butów Potem znów cisza i tylko wieczna,nieukniniona muzyka drutów.

Otwiera się zawsze ta sama,nierzyczywista,biała noc obozowa.